EPOKA
TYGODNIK
ROK II Warszawa, 20 sierpnia 1933 R. NR. 34 (47)

Mgła fatalizmu

Wielka rehabilitacja

Kraniec upodlenia

Skrzypiąca maszyna

Osiedla podmiejskie

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Teatr. Najnowsze książki. Dział Zespołu „Przedmieście". Listy do „Epoki".

AUTORZY: Wasowski. Lukrec. Tołwiński. Waśniewski. Kornacki.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

OPINJE PRZECIĘTNE

Tygodnik paryski *Le Monde* zorganizował ankietę wśród klasy średniej. Trzy z pośród siedmiu, stawianych przez ankietę, pytań brzmią: Jakie są przyczyny kryzysu? Czy należy zmienić ustrój? Jaki jest pański stosunek do socjalizmu, nacjonalizmu, faszyzmu i religji?

Oto niektóre znamienne odpowiedzi.

Inżynier: Kryzys zawdzięczamy nadprodukcji. Pogłębia go pod-konsumcja i brak zaufania. Będzie długotrwały, ponieważ potrzebne jest rozwiązanie na skalę międzynarodową. Ustrój kapitalistyczny jest chory. Ale czem go zastąpić? Kwestje religijne są mi obojętne. Nie mam zaufania do polityki i polityków. Ze stanowiska liberalnego czuję wstręt do faszyzmu, a nacjonalizm wydaje mi się idjotyczny. Lecz nie wierzę również w socjalizm.

Właściciel małego przedsiębiorstwa mechanicznego: Kryzys został spowodowany przez sztuczny rozrost potrzeb w okresie powojennym. Kryzys potrwa długo. Kapitalizm musi ulec zmianie, lecz nie można przeprowadzać nagłych zmian ustrojowych. Religje utraciły dziś wpływ. Nacjonalizm prowadzi do wojny. Faszyzm to gwałt i śmierć.

Drobny producent: Przyczyną kryzysu jest zbyt szybki postęp maszynizmu i zły system „administracji" świata. Kapitalizm skazany jest na zagładę. Opiera się na współzawodnictwie, zamiast na współpracy. Należy obalić kapitalizm i zastąpić go ustrojem, opartym na solidarności i gwarancji pewnego minimum egzystencji z zachowaniem swobody dla rozwoju indywidualnych różnic między ludźmi. Nacjonalizm to wojna, a faszyzm to średniowiecze.

Kupiec: Kryzys jest wynikiem anarchicznej produkcji. Będzie długotrwały. Niewiadomo też, dokąd zmierza. Nie jestem za zmianą ustroju. Każdy wstrząs społeczny zrujnuje moje przedsiębiorstwo. Lecz są możliwe, a nawet niezbędne pewne reformy: zmniejszenie podatków przedewszystkiem. Nie wierzę w żadne ideologje, ani ich przywódców. Wojna jest największem złem, lecz nie wiem, czy jej unikniemy.

Sprzedawca „na raty": Kryzys jest następstwem powszechnego nieładu i nieudolności rządzących. Nie wierzę w żadne konferencje międzynarodowe. Trzeba wielu reform. Zbyt wiele panoszy się dziś łajdactw i nędzy. Nie wierzę w nacjonalizm, który prowadzi do wojny; nie chcę faszyzmu, który jest barbarzyński. Nie mam też zaufania do socjalizmu.

Właściciel garażu: Początek kryzysu przypada na lata wojenne. Należy powstrzymać rozwój maszynizmu i reglamentować produkcję. Obecny ustrój jest niesprawiedliwy. Należy ustanowić inny. Jaki? Nie wiem. Napewno znajdziemy go pod presją wydarzeń. Rola ludzi jest bardzo nikła. Do działania zmusza ich bieg wypadków. Kwestje religijne nie interesują mię. Nie chcę nacjonalizmu ani faszyzmu.

„KSIĘGA BRUNATNA"

Daily Herald w trzech artykułach ogłosił szczegóły akcji następującej:

We wszystkich niemal krajach powstały komitety pomocy ofiarom terroru hitlerowskiego. Komitety te złączyły się obecnie we wspólny Komitet Światowy pod honorowem przewodnictwem profesorów Langevin i Einsteina. Prezydentem jest lord Marley, viceprzewodniczący Izby Lordów.

Komitet Światowy kosztem wielkich sum prowadzi śledztwo w sprawie podpalenia Reichstagu. Komisja śledcza bada świadków, sprawdza dokumenty, wysłała też zaufanych ludzi do Berlina.

Komitet Światowy organizuje kontr-proces w Hadze, oparty na bezspornych podobno dowodach i materjałach oraz sensacyjnych zeznaniach świadków. Prawnicy z całego świata zaofiarowali swe usługi w roli sędziów i obrońców. Skład trybunału będzie obejmował doradcę prawnego króla angielskiego D. N. Pritt'a, profesora uniwersytetu madryckiego Jimenez de Asua, posła francuskiego Gaston Bergery, szwedzkiego prawnika prof. Branting i dwóch sędziów amerykańskich Clarence Darrow i Artura Garfield Hays.

Trybunał będzie obradował w Hadze. Dokumenty, ujawnione podczas obrad haskich, opublikowane zostaną w „księdze brunatnej o podpaleniu Reichstagu i o terrorze hitlerowskim", którą Komitet Światowy wyda w języku niemieckim, francuskim, czeskim, holenderskim i szwedzkim.

ICH REMARQUE

Wielkie powodzenie osiągnęła w Niemczech fantastyczna powieść majora von Geldersa „Wojna powietrzna 1936 roku". Autor opisuje wojnę z Anglją „butnej" Francji, która, opanowawszy kontynent europejski, zapragnęła zapanować i na morzu. Wojna wybucha nad kanałem Sueskim; dzięki okupacji Egiptu przez Francuzów, wydarty on zostaje Anglikom. Morze Śródziemne zakorkowane. Flota angielska odcięta od metropolji. Anglji grozi zagłada. Z pomocą przychodzi jednak pewien angielski pułkownik Bracley. Szybko organizuje potężną eskadrę 300 ciężkich samolotów i atakuje Paryż.

Major von Gelders delektuje się opisem zniszczenia Paryża. Eskadra pułk. Bracleya zasypuje stolicę Francji bombami gazowemi i pożarowemi. Ludność Paryża ogarnęła panika. Setki tysięcy giną od jadu gazowego. Miasto płonie, jak Rzym za Nerona. Na przedmieściach wybucha powstanie komunistyczne. Rząd ukrywa się w Tours. Samoloty pułk. Bracleya zatapiają francuskie transportowce w kanale La Manche, wiozące desant do Anglji. Francja kapituluje — wojna skończona.

„Wojna powietrzna 1936 r." w ciągu 5-ciu miesięcy osiągnęła w Niemczech nakład 100 tys. egzemplarzy. Majora von Geldersa, którego popularność rośnie z dnia na dzień, nazywają „Remarqu'em 3-iej Rzeszy".

SKROMNA REFORMA

W redagowanej stale na łamach tygodnika paryskiego *Marianne* rubryce „Kobieta mówi..." autorka francuska *Suzanne Normande* pisze o projekcie zmiany prawa małżeńskiego. Przytaczamy niektóre uwagi:

„Czy sprawozdanie p. Réné Renoult o zmianie prawa małżeńskiego zostanie przyjęte przez senat

francuski? Senat nigdy nie był zbyt łaskaw dla nowych praw kobiety. Lecz ten projekt jest aż nadto umiarkowany, by nie przerazić starszych panów, wyznających w zakresie uprawnień kobiet poglądy bardziej dzikie, niż poglądy Napoleona.

„Projekt nie zawiera nic anarchicznego. Bacznie strzeże praw męża: żadnym zmianom nie uległo wykonywanie władzy opiekuńczej, kwestja nazwiska, miejsca zamieszkania. Umożliwiono jedynie swobodne rozporządzanie przez zamężną kobietę jej zarobkami, podejmowanie z banku własnych jej pieniędzy, oraz otrzymanie paszportu bez podpisu męża. Żona nie będzie bynajmniej korzystała z wielkiej swobody, przestanie jednak — w skromnym coprawda zakresie spraw — być traktowana, jak niepoczytalny pijak, lub bezwolna istota."

POSTACIE, KTÓRE NIE CHCĄ AUTORA

Głośnem echem rozległ się w prasie belgijskiej proces, wytoczony powieściopisarzowi przez osoby, które rozpoznały w jego książce samych siebie i nie były z tego zadowolone.

Wyrokiem sądu w Mons pisarz Pierre Hubermont został skazany na odszkodowania pieniężne, sięgające łącznej sumy 21 tysięcy franków.

Wyrok został surowo osądzony przez literatów belgijskich. „Istnieją w Belgji — pisze tygodnik *Le Rouge et le Noir*" — zawodowe organizacje literackie, Penklub, Zrzeszenie Pisarzy, Akademja Królewska, Akademja Picard. Chcielibyśmy wiedzieć, co one zrobiły, co robią obecnie i jak postąpią w przyszłości wobec wyroku, który brutalnie narusza prawa pisarza. Wyrok sądu w Mons, jako punkt wyjścia dla wymiau sprawiedliwości i jako precedens grozi literaturze olbrzymiem niebezpieczeństwem. Pirandello pokazał w swojej słynnej sztuce sześć osób w poszukiwaniu autora. A oto odwrotna komedja: osoby, które nie chcą autora.

Twórca umieszcza w imaginacyjnem środowisku osoby o wyimaginowanych nazwiskach i rysach. I oto znajdą się jednostki, które krzykną z oburzeniem „to ja!" — i zwrócą się do sądu.

Wszyscy współcześni Flaubert'owi wiedzieli, jakie rzeczywiste nazwiska należy nadać bohaterom „Madame Bovary" i znali środowisko, w jakiem rozgrywały się wypadki. Jeśli Flaubert uniknął karzącego wymiaru sprawiedliwości, to chyba nietylko dlatego, że żaden z rogaczy Normandji nie rozpoznał siebie w jego dziele".

Sprawa, która w Belgji wywołała wiele hałasu i która jest tam pierwszą tego rodzaju, posiada w Polsce parę precedensów. Jeden z najdowcipniejszych naszych pisarzy teatralnych szybko zrejterował wobec pretensji adwokata warszawskiego o umieszczenie jego nazwiska w sztuce teatralnej.

Z LIGI REFORMY OBYCZAJÓW

Sekretarjat Ligi Reformy Obyczajów czynny jest obecnie w lokalu Związku Myśli Wolnej przy ulicy Królewskiej 16, w godz. 17—19-ta.

MGŁA FATALIZMU

W sądach o społeczno-politycznem życiu świata górują uproszczenia, które dają złudzenie, że z obrazu tego życia można z łatwością wysnuć wnioski syntetyczne, normy rozwojowe i niezawodne przepowiednie. Na uproszczeniach, właściwych umysłom powierzchownym, a więc olbrzymiej większości ludzi, buduje się oceny dziejów, programy ustrojowe, doktryny socjalne i systemy rządzenia.

Księga rzeczywistości, tak trudna do zrozumienia, zwłaszcza w epoce wielkiego chaosu, musi być umysłom prostackim uprzystępniona, czyli zubożona, doprowadzona do poziomu i rozmiarów podręcznika, który każdy nabyć i zrozumieć potrafi. Wbrew słowom Hebbla, że „człowiek nie powinien sądzić, iż rozumie to, czego nie rozumie", skłonnością ludzi — rzecby można — żywiołową, jest właśnie umysłowa nieskromność, trzymanie się pewników, kategoryczność w sądach. Podręcznik rzeczywistości jest lekturą najmilszą dla ludzi, którą nie chcą lub nie mogą zadawać sobie zbyt wielkiego trudu myślenia. Lektura ta — w mniejszym lub większym stopniu — zniekształca obraz świata. Przez to, że ten obraz upraszcza, a więc zasłania tysiąc zagadnień i oddala od tysiąca znaków zapytania.

Świadomość zbiorowa urobiona jest przez wymyślny system takich zasłon, sporządzonych na potrzeby prostactwa przez inscenizatorów i reżyserów rzeczy politycznych. Różnią się od siebie kolorami politycznej tęczy, ale w tem są podobni, że każdy daje swoim rzeszom wiedzę za trzy grosze — „pogląd" i „prawdę". Jak wszystkie niepokoje i tęsknoty mistyczne człowieka można wtłoczyć w najwęższe ramki katechizmu, wyzyskując potrzebę wiary, tak też myśl społeczną można utrzymać w sferze uproszczeń, eksploatując potrzebę przekonania. Stąd — potęga fikcyj, rządzących rodzajem ludzkim, stąd owe popularne syntezy, „ujęcia" historji, nauki o tendencjach dziejowych.

W chwili obecnej pewne prądy, chwilowo zwycięskie, awansowane są do rzędu owych właśnie „tendencyj dziejowych", którym nic przeciwstawić nie można, jako dyktowanym przez t. zw. konieczności historyczne. Organizatorzy każdego przewrotu politycznego „odwracają kartę dziejów", rozpoczynają „nową erę', stawiają krzyż nad społeczno-politycznemi normami dnia poprzedniego, pouczając w swoich podręcznikach, że taką jest właśnie tendencja dziejowa. Jeden z agitatorów hitleryzmu oświadczył niedawno, że przewrót w Niemczech wykreśla nową linję historji narodu niemieckiego na lat 30.000! Nie tak znów bardzo różnią się od tego głupca ci, którzy w dzisiejszych zmianach reakcyjnych upatrują początek nowej ery, znaki trwałego przeinaczenia życia szeregu dalszych pokoleń.

Są to słowa i pojęcia chore na elephantiasis. Zrodzone z megalomanji i oszołomienia, działają na myśl społeczną, która coraz częściej kapituluje wobec różnych „konieczności dziejowych". Rezygnuje nawet z podstawowych zasad moralnych, poddając się sugestji nowych systemów terroru.

Na umysłach osiadła mgła fatalizmu. Niesie on takie naprzykład, wskazanie: oto wzmagają się i zwyciężają prądy nacjonalistyczne, wobec których zlikwidować należy wszystkie dawne zasady i kryterja, jako skazane na zagładę; Hitler jest uosobieniem procesu dziejowego; idzie fala rzeczy nowych, której nic nie powstrzyma; poczucie rzeczywistości nakazuje liczyć się z tem, co nieuchronne. Owocem tego fatalizmu jest bierność, rezygnująca ze wszystkiego, co nie zgadza się z rzekomą potęgą dziejowych przeznaczeń. I tak popada się w polityczny mistycyzm, niszczący posterunki obrony praw ludzkich i obywatelskich. Skoro w takim, a nie innym kierunku rozwija się układ stosunków międzyludzkich i międzynarodowych, skoro takie a nie inne odbywają się zwroty i nawroty historji, to cóż poradzić może przeciwstawianie się koniecznościom? Po tym argumencie droga do kompromisu, odstępstwa, a często i upodlenia — otwarta: zrzucamy balast przekonań, przekreślamy nasze credo, zrzekamy się naszych ideałów i zapisujemy się w poczet wykonawców „woli dziejowej".

Ileż tu błędów, omamień i uproszczeń! Żonglowanie pojęciami epoki i ery, nakazów i praw historji, wymagań i przeznaczeń dziejowych — to dziś prawdziwa orgja umysłowego prostactwa. Dlatego Hitler może uchodzić za twórcę nowej ery. Co za pośpiech we wnioskach historycznych! Kilka miesięcy po chwyceniu władzy przez szaleńca! I już — epoka, era, lekcja dziejów, wyrok historji... Już wołanie fatalistyczne, że temu wyrokowi trzeba się poddać i wszystkie dawne drogowskazy polityczne, społeczne, moralne pousuwać...

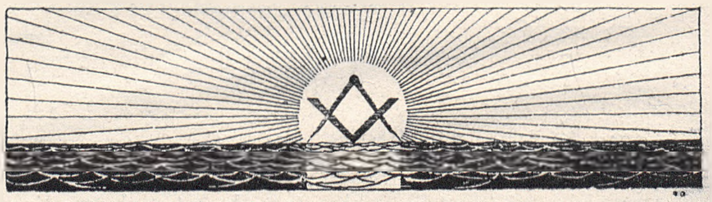
Z pojęciem epoki wiązała ludzkość okres stuleci, a z pojęciem ery — okres tysiącoleci. To prawda, że żyjemy szybciej. Czy jednak twórcami epok zaczniemy nazywać bohaterów dnia lub miesiąca? We wnioskach niecierpliwych i przedwczesnych możemy dojść do tego, że epokę czy erę zrównamy z trwałością mody w strojach kobiet.

Z argumentami „konieczności dziejowej" rozprawić się musi myśl uczciwa i wybiegająca w przyszłość, ta, która nie da się unicestwić przez „pędzące koła historji", ani nie wkroczy na manowce, na jakie popycha ją tryumfujący fatalizm. Nie przypisując dzisiejszym reakcjom politycznym i falom barbarzyństwa cech wiecznotrwałości, może zachować swą pełną żywotność i aktywność. Żywotność protestu i aktywność w przygotowaniach do likwidacji przemijających szaleństw i zbrodni. Co więcej: zło, dziś zwycięskie, nietylko nie zmusza do niewolniczych sankcyj i akcesów, ale jest właśnie najsilniejszym argumentem, przemawiającym za zachowaniem sprzeciwu.

„Zaznaczam mój gniew" — pisał Baudelaire, myśląc o świecie moralności mieszczańskiej. „Zaznaczanie gniewu" wobec politycznej rzeczywistości dzisiejszej nie jest biciem głową o wiecznotrwały mur, lecz rozpraszaniem mgły, która panuje po burzy wojennej i przed burzą socjalną.

Wszelkiego rodzaju handlarze polityczni przystosowują się do chwilowej konjunktury i to swoje handlarstwo proklamują, jako mądrość polityczną, która „liczy się z rzeczywistością". Ze swoich taktyk i strategij ciągną narazie zyski materjalne, upiększając swoje interesy filozofją „konieczności dziejowej" i lekceważąc „Don Kiszotów", nie rozumiejących „ducha czasu". Lecz pomiędzy mądrym idealizmem a głupim realizmem różnica na tem polega, że pierwszy widzi całe zło teraźniejszości, przewidując inne jutro, które tworzy, drugi natomiast tkwi wyłącznie w dniu dzisiejszym, ślepy i głuchy wobec zmian nadchodzących, które go zaskoczą i zniszczą.

Józef Wasowski



REHABILITACJA ST. BRZOZOWSKIEGO I TRYUMF OBRONY

Oświadczenie Karola Radka w głośnej kiedyś sprawie Stanisława Brzozowskiego i stwierdzenie, że znakomity pisarz nie pozostawał na służbie ochrany — rzuca ostatecznie zasłonę na tę osobistą i polityczną tragedję. Wszystkie inne okoliczności tej sprawy, oraz role różnych osobistości z nią związane wypadałoby właściwie pozostawić już historji.

Tymczasem jesteśmy świadkami, jak endecja, która usiłuje od dłuższego już czasu zaanektować postać St. Brzozowskiego, jako człowieka swojej idei — korzysta i w tym wypadku, by wpleść liść zasługi do wieńca swojej chwały i utrwalić mniemanie w świadomości dzisiejszego pokolenia, że z pośród wszystkich ugrupowań politycznych, jedynie endecja miała odwagę bronić czci St. Brzozowskiego.

„Kurjer Warszawski", w związku z powyższem oświadczeniem K. Radka porusza „fakt, że kiedy cała prasa socjalistyczna szkalowała Brzozowskiego niemiłosiernie, pisma narodowo - demokratyczne, a w szczególności lwowskie „Słowo Polskie" stanęło w obronie pisarza polskiego" (dn. 28.VIII r. b. artykuł p. B. Szarlitta).

Zdawało się, że namiętności, poruszone przez tragedję Brzozowskiego wygasły i powstały możliwości

spokojnego, objektywnego sądzenia rzeczy i ludzi — a tu naraz odzywają się przyrodzone instynkty endeckie, uzbrojone w żądła i jadem usiłujące zatruć nawet tak podniosłą chwilę, jak rehabilitacja nieszczęśliwego myśliciela.

Wobec tego powstaje tu obowiązek zastosowania przeciwtrucizny i stwierdzenia, że wówczas, t. j. przed ćwierćwiekiem w obronie St. Brzozowskiego stanęli wyłącznie pisarze obozu rewolucyjnego, niezależnego, — obozu „Głosu", narodowa demokracja zaś łączyła się przeciwko Brzozowskiemu z innemi grupami przeróżnych kierunków, poczynając od skrajnie klerykalnego i kończąc na socjal-demokratycznym.

Sprawa St. Brzozowskiego powstała po ostrej kampanji sienkiewiczowskiej, wkrótce po brawurowej szarży Młodej Polski na okopy endecji, w czasie najwyższego napięcia namiętności, wywołanych gwałtownemi starciami w obronie nowych wartości literackich, społecznych i politycznych. Rozwarła się wówczas przepaść ideowa i duchowa między ugodową reakcją endecką i radykalnym socjalizmem „Głosu", którego szermierzem głównym w całej tej kampanji był właśnie St. Brzozowski. Wskutek tego stał się przedmiotem syczącej nienawiści i bezlitosnego zwalczania. Ten sam „Kurjer Warszawski", spowity dziś w białą togę świętoszka czy anioła opiekuńczego — odsądził Brzozowskiego od czci, wiary i człowieczeństwa. I kto posiada nieco poczucia prawdy psychologicznej i znajomości stosunków ówczesnych — przez chwilę nawet nie wyda mu się prawdopodobnem bez zaglądania do roczników pisma, iżby endecja zdolna była i skłonna do gloryfikowania wtedy St. Brzozowskiego.

Zresztą nawet p. Szarlitt, uczyniwszy tak niefortunną wkładkę o zasługach w tej mierze endecji, — wymienia z liczby obrońców Brzozowskiego tylko nazwiska skrajnych radykałów lewicowych: St. Żeromskiego, W. Nałkowskiego i St. Przybyszewskiego, nie mogąc natomiast przytoczyć ani jednego nazwiska ze strony endecji.

Świetny i płomienny obrońca Brzozowskiego, Wacław Nałkowski, niestrudzony szermierz, rwący się do boju wszędzie, gdzie wysuwały się szpony ucisku i krzywdy ludzkiej — stanął na czele całej grupy „Głosu", która zwarła się wówczas w walce z oskarżycielami o cześć Brzozowskiego i o objektywną prawdę w tej sprawie. Dobrze wszyscy rozumieli wówczas, że sprawa ta będzie miała wielkie znaczenie moralne.

Po stronie przeciwnej w sposób bezwzględny i napastniczy występował przeciwko Brzozowskiemu wolnomyśliciel A. Niemojewski, któremu sekundował redaktor socjalistycznego „Naprzodu". Haecker, posunąwszy się nadto do wydania w Krakowie w przeddzień sądu broszury o „Płomieniach" Brzozowskiego w celu tendencyjnego nastrojenia opinji publicznej przeciwko oskarżonemu. To napastnicze, niestety, stanowisko Andrzeja Niemojewskiego spotykało radosne, tryumfujące oddźwięki w prasie ultra - klerykalnej i narodowo - demokratycznej, zwłaszcza „Gońca" warszawskiego, który stał się kantorem pralni wszelkich brudów, rzucanych na kupę wokół sprawy St. Brzozowskiego. Wacław Nałkowski, patrząc jako przyrodnik na tę straszliwą symbiozę narodowych demokratów z wolnomyślicielami, ugodowców z socjalistami, klerykałów z ateuszami — dowodził, że widocznie ewolucja biologiczna nie idzie w parze ze społeczną i w najróżnorodniejszych obozach znajdują się nieraz pokrewne typy biologiczne, których tylko przypadek umieścił w różnych obozach społecznych. Wszystkie te typy, pławiąc się wówczas rozkosznie we wspólnej kałuży potępienia Brzozowskiego, dziś — po dwudziestu kilku latach, które upłynęły od dni sądu krakowskiego, — usiłują się prezentować czytającej publiczności w szatach niewiniątek i w blasku cnót katońskich. W składzie sądu, którego zwołania nb. domagał się uporczywie sam Brzozowski, zasiadali wyłącznie socjaliści, przewodniczył Herman Diamand, mężem zaufania zaś był Jędrzej Moraczewski. Przewodniczący oświadczył publicznie, że *sąd jest przekonany o niewinności Brzozowskiego*, niewinność tę zgóry przypuszcza, żąda więc tylko odpierania zarzutów ochrannika Bakaja, który bynajmniej nie był, jak mówiono, w łaskach rewolucjonistów rosyjskich. Głośne było przecież powiedzenie Wiery Figner, która nazwała Bakaja „brudną gąbką, używaną do zmywania hańby z oblicza rewolucji".

Przy boku W. Nałkowskiego skupili się wówczas w obronie Brzozowskiego ludzie i pisarze tej miary, co St. Żeromski, J. Wł. Dawid, St. Przybyszewski, J. Szczawińska-Dawidowa, J. Korczak, Z. Nałkowska, Anna Nałkowska, T. Miciński, M. Limanowski, M. Hankiewicz i wielu innych z obozu „Głosu", wszyscy jednak z lewicy. Przez swoją płomienną obronę czci polskiego pisarza radykalnego i przez stawianie w pogardę ochrannika Bakaja, uznani zostali za dotkniętych chorobą „paranoia Brzozowiana", ale dziś, po upływie ćwierć wieku, jasnem i mocno usprawiedliwionem się stało inne powiedzenie, mianowicie, że jeśli wogóle mogła być mowa o jakiejś zarazie, to tylko o *rabies canina*, o wściekliźnie oskarżycieli Brzozowskiego.

Sam oskarżony i większość jego szlachetnych obrońców spoczywają już dawno w grobach. W dniu rehabilitacji Brzozowskiego krzyże na ich mogiłach, oprócz zwykłego symbolu, są krzyżami zasługi, — dzień, zmywający ostatecznie hańbę z czoła Brzozowskiego jest jednocześnie dniem tryumfu ich rycerskiej obrony i ich niezłomnego przekonania o niezawinionej krzywdzie Brzozowskiego. Do snopu promieni ich sławy, ich ofiarnej służby piśmienniczej dzień dzisiejszy dorzuca nadto promień zwycięstwa ich wzniosłego ducha!

Obecnie usiłuje się przeprowadzić aneksję ideową Brzozowskiego na rzecz narodowej demokracji. Niewiadomo tylko, jakiem łożyskiem proces ten popłynie i co orzekną dzieje myśli oraz walk ideowych z początków naszego stulecia. Jedno jest tylko pewne, że gdyby żył St. Brzozowski, zażądałby naprzód straszliwego rachunku również i od narodowej demokracji za wszystkie swoje bóle, męki, za całą moralną truciznę, której mu nie szczędziła w krótkiem jego życiu i za całą nędzę, która się wlokła za nim z łaski możnych i silnych aż do krawędzi grobu. Powierzmy spokojnie ferowanie wyroków majestatowi dziejów!

Henryk Lukrec



BUDOWA OSIEDLI PODMIEJSKICH

JAKO PROBLEM SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

Dotychczasowe doświadczenie powinno nas nauczyć, że w budownictwie mieszkaniowem postulatami naczelnemi są dzisiaj: *masowość, planowość i oszczędność.*

Dlaczego masowość? Nigdy jeszcze nędza mieszkaniowa szerokich warstw robotniczych nie była w miastach tak paląca, jak jest dzisiaj. Sytuacja wciąż pogarsza się w tej dziedzinie. Czytamy coraz częściej o klęsce bezdomności, o przepełnieniu schronisk miejskich, o przenoszeniu się, uciekaniu rodzin robotniczych z mieszkań w nowych domach do starych nor i kątów.

Dlaczego planowość? Dlatego przedewszystkiem, że jesteśmy biedni. Miasta nasze ograniczają swoje wydatki inwestycyjne, nie naprawiają braków, nie przeprowadzają nowych ulic, tramwajów, wodociągów, kanałów, światła. W Warszawie, naprzykład, w takiej ludnej już dzisiaj dzielnicy, jak Żoliborz, kilka ogromnych domów o paru tysiącach mieszkańców nie posiada zupełnie dojazdu po brukowanej ulicy, w nocy jedna z głównych (w przyszłości) ulic tonie w ciemności. Nie można więc pozwalać, żeby każdy budował, gdzie chce i potem żądał, krzyczał, prosił o ulicę, światło, kanalizację...

Budować musimy planowo dlatego jeszcze, że nie mamy i nie będziemy mieli prędko środków, by to, co dzisiaj wybudujemy, jutro przerabiać, poprawiać, przenosić.

Dlaczego oszczędność? W kraju, nie posiadającym nagromadzonych kapitałów, w kraju o przeciętnie b. niskim poziomie dobrobytu, o głodujących masach bezrobotnych i półbezrobotnych — nie można dopuszczać do marnotrawstwa, do rozrzutności w tym dziale gospodarstwa społecznego, który w największym bodaj stopniu podlega kontroli władz publicznych. Nasze nowe siedziby muszą być budowane *oszczędnie i skromnie* w ten sposób, aby korzystanie z tych siedzib było dostępne dla szeregowych ludzi pracy, pozbawionych dzisiaj ludzkich warunków bytowania, żeby nie stwarzać tego pozornego paradoksu, że buduje się niepotrzebnie, bowiem na nowe mieszkania niema popytu. Niema popytu, bo są one drogie, *ale potrzeba tych mieszkań istnieje i to potrzeba niezwykle paląca.*

Nie stać nas dzisiaj, być może, na budowanie domów, które trwać będą sto lat. Nie jest, być może, słusznem, obciążanie dzisiejszego zubożałego pokolenia kosztem budowy siedzib dla naszych wnuków i prawnuków. Pomyślą oni sami o sobie w lepszych zapewne warunkach.

Te oszczędnościowe przesłanki w największym bodaj stopniu przemawiają na korzyść popieranego dzisiaj przez państwo *budownictwa tanich małych domków w osiedlach podmiejskich.*

Jeżeli jednak budownictwo tego rodzaju będzie pozostawione inicjatywie *prywatnej,* jeżeli główny nacisk położony zostanie na wyciągnięcie oszczędności od tych, którzy je pozornie posiadają, *cały sens społeczny akcji może być stracony.*

Oszczędności posiada dzisiaj przeważnie obywatel, ubiegający się o mieszkanie większe, oszczędności tej nie lokuje w „dom tani i ciasny", dążnością tego rodzaju ludzi jest i będzie budowanie bynajmniej nie oszczędne. Suma przebudowanego na tych zasadach kapitału będzie prawdopodobnie większa, ale liczba dostarczonych mieszkań pozostanie bardzo ograniczona i mieszkania te nie staną się bynajmniej zdobyczą tych, którzy ich najbardziej potrzebują. Również utrzymanie tego rodzaju budownictwa w ramach „planowości" jest bardzo wątpliwe. Popełnić tu łatwo ten sam błąd, co przy popieraniu budownictwa spółdzielczego dużych mieszkań bądź w oddzielnych willach, bądź w domach zbiorowych. Zamiast dostarczenia małych mieszkań jako przedmiotu pierwszej potrzeby szerokim rzeszom pracowników fizycznych i umysłowych, wybudowano znacznie mniejszą ilość mieszkań dużych, których utrzymanie przekracza obecnie możliwości płatnicze ich właścicieli ze sfery urzędniczej.

Nie zaprzeczam bynajmniej celowości przychodzenia z pewną pomocą finansową tym, którzy chcą ulokować swe oszczędności w wybudowaniu własnego domu dla swego osobistego użytku. *Jednakże naprawdę planowem i oszczędnem może być tylko budownictwo osiedli podmiejskich z domów taniej konstrukcji przez instytucje o charakterze użyteczności publicznej.*

Całych osiedli — na to kładę największy nacisk.

Tylko *całe osiedle* może być jednolicie rozplanowane, składać się z wielokrotnie powtórzonych jednakowych elementów — mieszkań w domach szeregowych.

Urządzenie ulic i instalacyj, połączenie komunikacyjne ze śródmieściem *takiego osiedla* może być przy rozłożeniu na setki i tysiące nawet rodzin nowych mieszkańców dopiero naprawdę ekonomiczne i celowe.

Tylko instytucja o charakterze użyteczności publicznej, czy to będzie spółdzielnia mieszkaniowa czy gmina, czy inna osoba prawna, posiadająca odpowiednio przygotowany i doświadczony aparat techniczny, — może po gruntownem przygotowaniu i opracowaniu najlepszych typów mieszkań, powtórzyć je wielokrotnie, usunąć decyzję indywidualną członka od najczęściej niesłusznych i niecelowych zmian i przeróbek projektu zasadniczego, podrażających w niebywały sposób wykonanie budynku.

Kładąc nacisk na budowę *domów własnych,* rozpatruje się bardzo często całą akcję pod kątem widzenia politycznym: stworzenia większej liczby właścicieli oddzielnych domków, przywiązanych z tytułu tej własności do podstaw dzisiejszego ustroju społecznego. *Złudzenie! — ci, którzy mają dzisiaj większe oszczędności, nie potrzebują przeważnie tej dodatkowej więzi; zresztą liczba tych samodzielnych właścicieli musi, jak to już starałem się wytłómaczyć, pozostać nader ograniczona.*

Drugi punkt widzenia, rozpowszechniony na Zachodzie, szczególniej w Niemczech, kładzie nacisk na złagodzenie drogą tej akcji klęski bezrobocia, złagodzenie przez danie bezrobotnemu i jego rodzinie kawałka ziemi, na której może być prowadzone gospodarstwo ogrodnicze i hodowlane. Rodzina bezrobotnego zdobywa w ten sposób możność zaopatrzenia się w część niezbędnych dla swego wyżywienia produktów. W ideale: coś w rodzaju chińskie-

go gospodarstwa, b. intensywnego, które nie nakarmi, ale i nie da umrzeć z głodu swemu właścicielowi. Bezrobotny nie ma oszczędności, państwo więc, czy gmina, przychodzi mu z pomocą, buduje dla niego domek z ogródkiem i chlewikiem i osadza na własnem gospodarstwie. Punkt widzenia też nie pozbawiony nastawienia politycznego. *W naszych warunkach przeludnienia i przymierania głodem wsi, tanich ogrodowizn podmiejskich, z drugiej zaś strony braku kapitałów inwestycyjnych, akcja tego rodzaju również nie znajduje większego uzasadnienia.*

Trzeba wszystko postawić na właściwem miejscu. Mamy do czynienia z zagadnieniem gospodarczem i społecznem. O osiągnięcie efektu gospodarczego i społecznego powinno nam chodzić.

Efekt gospodarczy osiągamy przez uruchomienie celowych robót publicznych, przy których wykorzystany i zużytkowany jest materjał, znajdujący się w naszem gospodarstwie poddostatkiem: budulec drzewny, cegła, wapno, cement, żelazo. Zatrudnienie znajdują liczne rzesze bezrobotnych, dla których żywności jest w kraju także poddostatkiem, ale które zgubiły drogę do tej żywności i muszą przymierać głodem. *Budownictwo planowe, jak to już niejednokrotnie stwierdzano, jest najlepszą i najtańszą drogą walki z bezrobociem.*

Efekt społeczny osiągamy przez celowe nastawienie całej akcji na budowę masową tanich, małych i racjonalnie urządzonych mieszkań dla szerokich rzesz ludzi pracy, tych ludzi, którzy przez regularną opłatę dostosowanych do ich możliwości płatniczych czynszów, czy też rat amortyzacyjnych, dadzą dopływ może trochę powolniejszy, ale jakże pewny i solidny — swych oszczędności, celowo i skutecznie odkładanych na potrzeby gospodarstwa społecznego.

Celowo i oszczędnie zużytkowany grosz ze szkatuły publicznej zaspakaja potrzebę istotnie masową, nie ma nadzwyczajnych dopływów, ale i nie przelewa się po drodze przez sito, zmniejszające częstokroć do połowy jego zawartość.

A jak ważną szkołą gromadnego współżycia ludzi są nowe, celowo urządzone osiedla mieszkalne z pogłębiającą się z dnia na dzień więzią instytucyj spółdzielczych, służących potrzebom gromady, opartych na zasadzie pomocy wzajemnej, może ocenić ten, kto w takiem osiedlu zamieszkał, lub przynajmniej z nurtem życia społecznego w takiem osiedlu miał okazję się zetknąć.

Stanisław Tołwiński

Przyjaciół naszego pisma prosimy o podawanie nam adresów osób, którym należy posyłać okazowe numery „Epoki"

ODGŁOSY

PISMO DLA INTELIGENCJI...

Nie w jakimś świstku ciemnych indywiduów, nie w jakimś senniku egipskim, ale w piśmie, które się nazywa *Myśl Narodowa* (w podtytule: „Tygodnik poświęcony kulturze twórczości polskiej") drukowane są wywody, które stanowią prawdziwy rekord ignorancji, bałamuctwa i nieodpowiedzialności. Ma się wrażenie, że tam piszą półanalfabeci, ćwierćinteligenci, nieróżniący się poziomem umysłowym od pierwszej lepszej maglarki, czy baby wiejskiej.

Artykuły o masonerji, zamieszczone w *Myśli Narodowej*, zawierają niewiarogodny stek idjotyzmów. Aż smutno się robi, że coś podobnego można wydrukować. Można — i to bez obawy kompromitacji wobec czytelników, którzy wszystko biorą na serjo.

Co za groch z kapustą! Masonerję skojarzono tu z sektą mormonów, z towarzystwami ezoterycznemi i okultystycznemi, z sektą satanistów, z jakimś „Związkiem Hermetycznym" w Katowicach, z jakąś „Lożą rycerzy ducha" w Królewskiej Hucie i wreszcie z „Ewangelicznym kościołem według objawienia św. Jana", zorganizowanym przez wieśniaka górnośląskiego Weissenberga, o którym *Myśl Narodowa* pisze: „Ulotki, rozrzucane o nim tajemnie, głoszą, że wskrzesił 9 zmarłych, nie podając zresztą na to dowodów". To „zresztą" jest rozbrajające...

Tak wygląda pismo dla inteligencji, poświęcone „kulturze twórczości polskiej"...

KRANIEC UPODLENIA

Do niemieckiego „Urzędu czystości rasowej" zgłaszają się tłumy interesantów, którzy pragną dowieść, iż w żyłach ich niema ani kropli krwi semickiej. Jest to bowiem warunek praw ludzkich i obywatelskich w państwie, rządzonem przez oszalałych zbirów.

Wytwarzają się tam sytuacje osobliwe. Oto zjawia się w „Urzędzie czystości rasowej" młody człowiek, według dokumentów urzędowych syn Żyda i Niemki. Wyjaśnia, że jest germaninem czystej krwi, bowiem urodził się z nielegalnego związku swej matki z Niemcem. Przytacza dowody, powołuje się na romans matki, która zdradziła swego męża. Dzięki tej szczęśliwej dla syna zdradzie, może on uniknąć upośledzeń i prześladowań, jakim podlegają „mieszańcy".

Zanotowano sporo takich wypadków: synowie kompromitują swoje matki, żeby zdobyć przywileje obywateli „czystych rasowo".

Nie bez logicznego związku z takiemi objawami upodlenia pozostają słowa ministra propagandy Goebbelsa: „W mojem pojęciu zwykła prostytutka niemiecka stoi wyżej od każdej, nawet zamężnej żydówki. Gdy pierwsza może stać się jeszcze uczciwym człowiekiem swej społeczności, to żydówka pozostanie zawsze żydówką".

Gdyby wszystko, co pisano o okrucieństwach w Niemczech, było — zgodnie z kłamliwemi zaprzeczeniami hitlerowców — nieprawdą, to już to, co sami mówią i piszą, świadczyłoby dostatecznie o ich znikczemnieniu. Tortury bowiem moralne nie są mniej haniebne od udręk fizycznych.

NATCHNIENIE LOGIKI

Musimy być sprawiedliwi, musimy przyznać, że i *Gazeta Warszawska* może powiedzieć coś nieodparcie słusznego. Słowa takie, bezwzględnie, bezapelacyjnie, niewzruszenie słuszne, znajdujemy w artykule p. t. „Wnioski", omawiającym wyrok sądowy w sprawie rozruchów antyżydowskich w Żywieckiem. Oto te słowa:

„Pragniemy stwierdzić fakt prosty i nie ulegający najmniejszej wątpliwości: zajść antyżydowskich i wynikających z nich procesów nie byłoby wogóle, gdyby nie było w Polsce żydów".

Zdanie to wydrukowano w *Gazecie Warszawskiej* czcionkami rozstawionemi, ażeby myśl w niem zawarta dobrze utkwiła w świadomości czytelnika, chociaż nie jest zbyt trudna do zrozumienia. Nawet czytelnik mało pojętny uchwyci ten wywód logiczny i zgodzi się, że istotnie, że niewątpliwie — gdyby nie było Żydów, nie byłoby rozruchów antyżydowskich.

Z niewiększym wysiłkiem umysłowym można dojść do innych, „nie ulegających wątpliwości" wniosków. Naprzykład: gdyby nie było ludzi, nie byłoby przeciwieństw wyznaniowych, narodowych, rasowych. Albo: gdyby nie było głupców, nie byłoby głupoty.

W imię bezstronności stwierdzamy, że ów wniosek *Gazety Warszawskiej* zrodzić się musiał w chwili wielkiego natchnienia inteligencji i logiki...

FASZYSTOWSKI CHRZEST

W pamiętniku byłego posła do parlamentu włoskiego Emilio Lussu, który przed kilku laty pierwszy ujawnił tajemnicę tragicznej śmierci Matteotie'go, jeden z rozdziałów, zatytułowany „Chrzest faszystowski", opisuje praktyki faszystów włoskich, które żywo przypominają obecne metody hitlerowskie. Przytaczamy fragment tego rozdziału.

„Terranowa jest małem miastem na północnym wschodzie Sardynji. Ludność była antyfaszystowska. Ekspedycja dwustu faszystów, uzbrojonych w karabiny maszynowe i bomby, wyruszyła w tajemnicy z Citavecchia wśród nocy. Planowano niespodziany atak. O świcie wyprawa przybyła do Terranovy. Pogrążoną w śnie ludność obudził huk bomb i miarowy trzask karabinów maszynowych. Faszyści, podzieleni na grupy, przypuścili formalny szturm do mieszkań antyfaszystów, wyważali drzwi, wybijali okna. Zaalarmowana przez napadniętych policja w myśl otrzymanych instrukcyj nie opuszczała koszar.

„Trzystu „podejrzanych" wywleczono na ulicę. Nieliczni tylko zdołali uciec za miasto... Zdemolowano i ograbiono lokale organizacyj robotniczych. O godzinie dziesiątej miasto było „zdobyte". Pojmanych opozycjonistów zaprowadzono na plac miejski. W koszulach, nieobuci musieli w wyprężonej postawie przedefilować przed frontem faszystowskiej ekspedycji. Po defiladzie nastąpił obrzęd „patrjotycznego chrztu". W ceremonji tej święconą wodę zastępował olej rycynowy, jako środek nawrócenia neofity. Ceremonje te odbywały się w Turynie, Medjolanie, Florencji, Bolonji. Dozy sięgały niekiedy pełnego litra rycyny. Odmowę picia rycyny karano doraźnem pobiciem, które nierzadko kończyło się śmiercią. Obezwładnionemu i skatowanemu buntownikowi otwierano usta przy pomocy specjalnie przez pałkarzy wynalezionego mechanizmu. Stosowano też lekarską sondę. Doza oleju odmierzana była proporcjonalnie do oporu heretyka. W niektórych wypadkach dolewano do rycyny naftę i jodynę. Nierzadkie były w następstwie tych zabiegów — ciężkie zachorzenia lub wypadki śmierci. Kobiety nie korzystały podczas ceremonji chrztu z żadnych przywilejów.

„W Sardynji nie znano jeszcze tego obrzędu. Wyprawa karna zainaugurowała dopiero nowy system. Wyspa zawsze zresztą była spóźniona w pochodzie narodowej cywilizacji.

„Ceremonja rozpoczęła się przy odgłosie bębnów. Naczelnik wyprawy wygłosił krótką przemowę. Potem, przyłożywszy lufę rewolweru do skroni najbliżej stojącego więźnia, wypowiedział sakramentalne zdanie: „Pij, w imię ojczyzny!" Ze wstrętem, obrzydzeniem wszyscy pokolei pili. Jeden tylko — chłop — odmówił. Zdziwiony naczelnik zażądał wyjaśnień. Chłop milczał. Groźby rewolweru okazały się próżne. Faszyści poczuli się urażeni w swej godności. „Śmierć zaprzańcowi" — rozległy się okrzyki, którym towarzyszył spazmatyczny płacz zgromadzonych na placu kobiet. Naczelnik ekspedycji powtórzył uroczyście rozkaz picia. Chłop odpowiedział słowem „Sk....synie!" „Pałką po łbie" — padł rozkaz.

„Wkrótce zmasakrowana twarz chłopa przeistoczyła się w krwawą miazgę. Nieprzytomnego odtransportowano na noszach. Ceremonja zdawała zbliżać się ku końcowi. Wśród więźniów znajdował się przywódca miejscowej opozycji socjal-demokratycznej, adwokat. Liczył 60 lat. Wypił pół litra rycyny. Wywleczony z łóżka, był prawie nagi. Bez sprzeciwu wykonał rozkaz, w nadziei rychłego powrotu do domu. Nie wiedział, że przeznaczony był do roli „gwoździa programu". Obrzędy chrztu były ukończone. Na środku placu umieszczono stół. Adwokat otrzymał rozkaz wygłoszenia mowy ku czci Mussoliniego. Spokojnie odmówił. Wymierzono mu dwa ciosy pałką w skronie. Podczas tej egzekucji przybyły na plac kaźni dwie córki adwokata, z których starsza liczyła piętnaście lat. Rzuciły się z przeraźliwym płaczem w objęcia ojca. Naczelnik ponowił rozkaz. Odmowa — i znów interwencja pałki. Ciosom akompanjował wstrząsający krzyk córek „nie zabijajcie ojca! nie zabijajcie!"

„Wygłoś mowę — ryknął naczelnik, podniecony widowiskiem — a oszczędzisz łez i krzyków tym niewinnym istotom!"

Córki błagalnie zawodziły: „Mów, ojcze, mów!" Czego nie potrafiły dokonać pałki, dokonały łzy dzieci. Adwokat wszedł na stół i rozpoczął — wśród tryumfalnych ryków faszystów — przemowę:

„Dobry rząd Mussoliniego... — rozpoczął.

„Mów przedtem o łajdactwach demokracji — wrzasnął naczelnik. Przyznaj się do zdrady ojczyzny!"

Adwokat wykonał rozkaz. Faszyści znakomicie się bawili.

Śmiechy, sprośne przekleństwa towarzyszyły każdemu zdaniu.

„A teraz uczcij Mussoliniego!" rozległy się wokół tryumfalne krzyki. W tym momencie nastąpiła niespodzianka. Drżący na całem ciele, blady i zmaltretowany adwokat wyprężył się, ostatkiem sił krzyknął: „Łotry!"—i padł nieprzytomny na ziemię".



„OBIAD O ÓSMEJ" J. KAUFMANA I E. FERBERA W TEATRZE NARODOWYM

Larry Renault, aktor filmowy, uwielbiany niegdyś przez publiczność, stracił powodzenie, jego gwiazda zbladła, popadł w biedę, ale wciąż jeszcze ma o sobie pojęcie wysokie, jest dumny, wyniosły i trzyma się dawnych gestów kabotyńskich. Ale nikt go nie angażuje. Impresarjo stara się o engagement dla Renaulta choćby w jakiejś rólce epizodycznej. Renault odrzuca zrazu „haniebną" propozycję. Wówczas impresarjo tłomaczy mu, że dla „wielkiego aktora" mały epizodzik to rola najbardziej pociągająca: publiczność niecierpliwi się i długo czeka, aż owa wielkość zjawi się na scenie. Wszedł, zachwyt, huragan oklasków, znika. A potem znowu — publiczność czeka i czeka, a tu nic — wielki aktor już się nie zjawia. Oto efekt, która ma być najbardziej pożądany dla „gwiazdy".

Możnaby i o całej sztuce Kaufmana i Ferbera powiedzieć to samo: przesuwa się obraz po obrazie, treść intryg, zawikłań, dramatów, komedyj i skandalów narasta, osób coraz więcej, krzyku i hałasu co niemiara, a publiczność ciągle — czeka i czeka na sens tego wszystkiego, na pointę, na rozwiązanie węzłów dramatycznych: chwilami wydaje się, że oto już, już nadchodzi „wielka scena", że się coś „zaokrągli", zamknie, że już zbliża się psychologiczna i artystyczna „klamra" — a tu nic. I tak do samego końca: po dziesiątym, ostatnim obrazie publiczność przez dłuższą chwilę nie wstaje z miejsc, co zawsze zdarza się w sztukach źle zakończonych.

Niemal wszystkie sceny dobre, konstrukcja zręczna, galerja typów barwna, a całość — nużąca. To tak, jak z „wystawnym" obiadem: za dużo jedzenia, za długo trwa. Gdyby „menu" sztuki było skromniejsze, „przyjęcie" byłoby o wiele lepsze.

Ale mamy teraz coraz więcej takich sztuk: suto i bogato — dziesięć, piętnaście, dwadzieścia obrazów. Hors d'oeuvre trwa godzinę, przy deserze już jesteśmy zmęczeni. Bo to ma być największa atrakcja dla publiczności mniej wybrednej: niech się naje. W takich sztukach — co kto chce, dań rozmaitych dowoli: dużo śmiechu, dużo łez, dużo strojów. W jednej sztuce nie jedna komedja czy dramat, ale pięć, dziesięć komedyj i dramatów. Gonią się wzajemnie i przeskakują przez siebie. Teatr-rewja. W rezultacie — kołowrotek i pustka. Pustka nawet wówczas, kiedy — jak w tej sztuce — epizody niektóre należą do prawdziwego teatru. Ale duch rewji bierze tu górę i zabija teatr.

W owych epizodach *teatralnych* aktorzy mieli dobrą okazję do błyśnięcia swemi talentami. Przedewszystkiem Adwentowicz w roli Larry Renault. Nieporównany, wspaniały. Samborski, Kościeszanka, Rotter-Jarnińska, Buszyński, Jezierska — ratowali teatr, przytłoczony i zamęczony przez sto potraw rewji.

J. W.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

SKRZYPIĄCA MASZYNA

Maszyna społeczna współczesnego świata skrzypi, klekoce i rzęzi. Wszyscy oczekujemy lekarstwa: wszyscy tęsknimy do takiej przebudowy społecznej, którаby uśmierciła największy paradoks naszych czasów, t. j. fakt, że przy nadmiarze produkcji ludzkość głoduje.

Jak wygląda to rozklekotane społeczeństwo? Czy i jakie klasy i środowiska są wolne od raka, toczącego dzisiejszy świat?

Odpowiedź na powyższe pytania daje świetny reportaż K. Wrzosa: „Oko w oko z kryzysem". (Wydawnictwo F. Hoesicka).

Autor, wybitny dziennikarz, przejechał całą Polskę wzdłuż i wszerz, przypatrując się kryzysowi. Nie opuścił ani jednego środowiska społecznego, docierając zarówno do drobnego rolnika na kresach wschodnich i zachodnich, jak i do nieświeskiego pałacu Radziwiłłów — owego ostatniego niemal gniazda licznych ongi feodałów polskich. Porzuciwszy rolników, jedzie do wielkich skupisk przemysłowych, by odnaleźć jeszcze większą nędzę, niż na wsi... Rozwija przed nami obraz wymarłego niemal miasta Zawiercia, prowadzi do mieszkań bezrobotnych, podaje rozmowy i opinje zarówno sfer kierowniczych wielkiego przemysłu, jak robotników. Śląsk, ukazany początkowo z lotu ptaka (autor przybył tam bowiem aeroplanem) dostarcza Wrzosowi materjału do oświetlenia jednego z najkapitalniejszych zagadnień dzisiejszej doby, t. j. sprawy produkcji i dumpingowego handlu węglem. Odwiedziwszy Łódź, dostrzega to dziwaczne zjawisko, że drobny, chałupniczy przemysł zabija wielkie zakłady przemysłowe, czyli potwierdza prawdę, wyrażoną lapidarnie przez któregoś z członków Lewjatana: „Żubry umierają, insekty się mnożą".

Do różnych środowisk i skupień ludzkich autor stosuje jednakową metodę. Polega ona na tem, że naprzód zapoznaje się z samem zjawiskiem, badając środowisko, następnie sonduje opinję o danej kwestji samych zainteresowanych oraz zapatrywania sfer rządowych. Jeśli zatem pisze o rolnictwie, to odwiedzi chłopa zamożnego, średnio i małorolnego, wstąpi do dworu i pałacu — słowem zapozna się dobrze z dolą rolników, a potem przeprowadzi wywiad w ministerstwie rolnictwa.

Nie trzeba specjalnie podkreślać, że dzięki tej metodzie poznajemy możliwie dokładnie każdy opisany przez autora odcinek życia społecznego. Ma ona i inne, równie doniosłe znaczenie t. j. pozwala się zorjentować, co mówi o danem zjawisku „vox populi" i co głoszą sfery kierownicze.

Wszyscy rozmówcy Wrzosa liczą na rząd, od niego spodziewając się ratunku, jemu przedkładając swe prośby i żądania. I w tych też wołaniach wyraża się prawda, że liberalizm ekonomiczny to już pieśń skończona i że państwo odgrywa i będzie odgrywało coraz większą, niemal rozstrzygającą rolę, organizując ekonomiczne życie kraju i podporządkowując egoizm klas i jednostek interesowi ogółu.

J. Waśniewski

TEATR ROBOTNICZY

We Francji istnieje „Federacja teatru robotniczego", złożona z autonomicznych grup, jak grupy — „Październik", „Masa", „Falanga przedmieścia". Właściwą działalność teatralną rozpoczęła Federacja niedawno, gdy wraz z Zrzeszeniem Pisarzy i Artystów proletarjackich zainicjowano szeroko zakrojoną akcję propagandową i artystyczną.

Nowopowstała grupa „Walka" wystawiać ma jedynie sztuki, napisane przez robotników i chłopów, a na inaugurację będzie zagrany utwór rolnika z okolic Bordeaux, zatytułowany „Wieś się budzi".

Na przedstawieniach „Federacji" przeważa młodzież, studenci i urzędnicy, oraz cudzoziemcy: Niemcy, Włosi, Polacy. Robotnicy stanowią drobną mniejszość.

Widowiska przypominają swym charakterem misterja średniowieczne. Podczas jednego z przedstawień użyto następującej scenerji: po lewej stronie sceny stoi niski parawan, wyobrażający brzuch i nogi tłustego kapitalisty, uwieńczony u góry pięcioma głowami żywych ludzi. Jestto wyobrażenie wielogłowej hydry kapitalistycznej. Po prawej stronie sceny stoi olbrzymia szkatuła, której kłaniają się w pas — policjant, ksiądz, ekonomista, poeta, filozof.

Po scenie błądzi proletarjusz, pytając bezustannie, kiedy poprawi się jego los. Pięciogłowa hydra stara się obudzić w robotniku uczucie bierności i rezygnacji, w czem pomagają jej ksiądz, filozof, etc. Przedstawienie kończy się — zaśnięciem robotnika i epilogiem, w którym następuje symboliczne przebudzenie.

Ś. P. WŁADYSŁAW MAZURKIEWICZ

Zmarł w Warszawie Władysław Mazurkiewicz, doktór medycyny, profesor farmakognozji Uniwersytetu Warszawskiego, b. 1-y dziekan wydziału farmaceutycznego U. W., autor wielu cennych dzieł tej gałęzi nauki, człowiek szlachetny o charakterze nieskazitelnym i sercu wrażliwem, rzetelny pracownik naukowy i gorący siewca najwznioślejszych idei, niezastąpiony w stosunkach przyjacielskich i braterskich.

Na łamach *Kurjera Porannego* przypomina M. J. Wielopolska udział ś. p. Władysława Mazurkiewicza w uwolnieniu Józefa Piłsudskiego z więzienia w roku 1901. Artykuł ten („Najpiękniejszy prof. Mazurkiewicza dyżur") przytaczamy w streszczeniu:

Wład. Mazurkiewicz, podówczas kończący petersburską wojskowo-medyczną Akademję, wybierał się do Łodzi, aby tam pracować jako lekarz dermatolog i jako członek P. P. S. wśród robotników. Nagłe uwięzienie Piłsudskiego 21.2.1900 i przewiezienie go z Cytadeli warszawskiej do szpitala św. Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu, w marcu 1901, pokrzyżowało wszystkie plany Wład. Mazurkiewicza. Jego bowiem wybrała partja do przeprowadzenia ucieczki Piłsudskiego.

Ojciec młodego medyka, mający wielkie stosunki w stolicy Rosji i zażyłą znajomość z wszechmogącym Horymkinem i Kleingelsem, miał mu „na poczekaniu" wyrobić posadę ordynatora w psychjatrycznym szpitalu św. Mikołaja. Wiedział Wład. Mazurkiewicz, że przeprowadziwszy szczęśliwie, czy nieszczęśliwie, ucieczkę drogocennego dla władz rosyjskich więźnia — narażony będzie i on i jego najbliższa rodzina, na najcięższe przeżycia — jednak nie zawahał się ani na chwilę — za zezwoleniem partji, wtajemniczył tylko w plany siostrę swoją w Tambowie, aby w razie czego zajęła się jego starymi rodzicami. Załatwiwszy w ten sposób, krótko, po męsku, sprawę swoich najbliższych — udał się do szpitala.

Ułatwioną miał sytuację o tyle, że dyrektor szpitala, dr. Czeczot, wiedział o symulowaniu choroby umysłowej przez Piłsudskiego, — zaś na oddziele samego Piłsudskiego, praktykował dr. Sylwanowicz z Krakowa, członek również PPS.

Z końcem kwietnia 1901, otrzymał on mianowanie na ordynatora i — na 1 maja starego stylu, został naznaczony ten jego pierwszy, najpiękniejszy i — zarazem — ostatni dyżur lekarski.

Codzień tymczasem znosił do szpitala rozmaite części ubrania dla więźnia, dziękując losom, iż sprawiły, że chorych, podejrzanych o symulanctwo, sprowadzano często na dół, do specjalnego badania, dzięki czemu będzie mógł swojego więźnia wyprowadzić z celi, bez zwracania niczyjej uwagi.

Z uderzeniem godziny 7-ej — „chory więzień" był już na dole, a w parę minut później, już był przebrany, od kurtki, aż po ów nieszczęsny, historyczny szapoklak, który się okazał o połowę za duży... Wszystko szło gładko, przygotowane genjalnie. Służba urlopowana, lekarze nieobecni, lecz z chwilą przebrania się więźnia, zaczęło się wszystko gmatwać.

Przedewszystkiem wyjście umówione nie mogło się odbyć wedle planu, bo znaleźli się niepotrzebni świadkowie. Trzeba było wychodzić innemi drzwiami — a więc nie temi, opodal których czekali towarzysze z dorożką.

Wład. Mazurkiewicz nie stracił zimnej krwi ani na chwilę. W pośpiechu najwyższym, ale spokojnie, rozważnie, wyprowadził więźnia przeciwną stroną gmachu, złajał przejeżdżającą dorożkę, zaprzężoną na nieszczęście w zdychającego konia i ruszył ku punktowi wyznaczonemu. Jechali wolno, jak za karawanem, Wład. Mazurkiewicz irytował się na izwoszczyka: trupy ci wozić, nie żywych ludzi... a Piłsudski powtarzał: — niech sobie jedzie jak chce! patrzcie jak zielono, jak pachnie dookoła...

Zapamiętał tę jazdę i te słowa Wład. Mazurkiewicz do końca życia — opisuje je ze wzruszeniem, bez podkreślania wielkiej swojej gotowości do poniesienia każdej ofiary i do wzięcia na siebie całej odpowiedzialności. On to bowiem nalegał na zebraniach konspiracyjnych, aby nikt poza nim nie był wciągany w tę niebezpieczną robotę. On też sam od początku do końca przeprowadził ją — wprost brawurowo.

Po dokonaniu wspaniałego czynu — partja wysłała Piłsudskiego za kordon galicyjski, o Wład. Mazurkiewiczu zaś jakby zapomniano. Żadne rozkazy z Warszawy nie przychodziły, a tu tymczasem paliła mu się coraz bardziej ziemia pod nogami.

Dziesięć dni minęło — Wład. Mazurkiewicz siedział ciągle zamknięty w Leśnym Instytucie pod Petersburgiem — organizacja miejscowa postanowiła działać na własną rękę. To też polecono wywieźć Wład. Mazurkiewicza, śladem Piłsudskiego, do Ga-

licji. Inż. kolejowy, Ignacy Ciszewski przygotował wszystko na dworcu, tak, że Wład. Mazurkiewicz, z czapką inżyniera górnika na głowie, wyskoczył po drugiem dopiero dzwonieniu z biura Ciszewskiego i, przeszedłszy szybko tor, wsiadł do wagonu, przeznaczonego dla kolejarzy. Towarzyszyli mu Demidowicz Demidecki i Ciszewski, aż do stacji Bałagoje.

Wszyscy byli teraz w świetnych humorach, rozbawieni jak dzieci — tak dalece, że dla figlów wypili w Bałagoje kawę... w carskiej poczekalni, pociem dojechali, już bez Ciszewskiego do Wiazmy. Demidowicz opowiadał, że tu omal się nie zdradził Wład. Mazurkiewicz. Zachorowała nagle na stacji jakaś kupcowa — ktoś krzyczał rozpaczliwie: doktora!! Poczucie obowiązku lekarskiego omal nie zgubiło Wład. Mazurkiewicza, bo zerwał się ratować chorą, mimo noszonej na głowie czapki... inżyniera górnika. Na szczęście nadbiegł inny lekarz — Wład. Mazurkiewicz nie zdradził swego incognita, minął bezpiecznie granicę, via Chełm i postój u Miklaszewskiego, i osiadł na długie lata we Lwowie.

DZIAŁ ZESPOŁU LITERACKIEGO „PRZEDMIEŚCIE"

NOC Z POLICJANTEM NA GAŁĘZI*)

Po prawej ręce parkan, a nad parkanem kominy,— w mroku ich nie widać, ale wiadomo, że są. Po lewej ręce ściana, a w ścianie ruch i gwar, — to dom. Tylko w jednem oknie na piętrze najwyższem opłaca się widać komuś palić po nocy gaz, a reszta okien ciemna, chociaż ludzie nie śpią. Gdzie tam!... Niema pieniędzy na światło i niema zdrowia na sen, więc pociemku tłucze się po izbach biedota ludzka i klnie i trzaska drzwiami i rozrzuca sprzęty i kłóci się i płacze na sześć głosów, albo siada na łóżku i na chwilę przemienia się w śpiew. Bezładnie, bezradnie i krótko.

**
*

Posterunkowy zatrzymał rower przy płocie, ale nie zsiadł odrazu, lecz ramieniem o parkan oparty, słuchał nasamprzód i patrzał na ulicę i na dom. Bezgłośnie sterczy ulica i tylko latarnie spoglądają sennie skroś gęstą krepę nocy. Wiejący znaprzeciwka wiatr niesie za sobą pustkę pozbawioną do cna tupotu dorożkarskich kopyt i szumu aucich kół i dalekiego brzęczenia butów ludzkich o chodnik. Nic, tylko czarność i cisza na ulicy, co się zaś tyczy domu, to nie oczom ani uszom trzeba wierzyć, lecz sercu, serca własnego zapytać, czy patrzy kto, czy nikt nie patrzy z ciemnych okien, — odczuć.

Nie patrzy nikt. Trzeba otworzyć furtkę w płocie. Trzeba też śpiesznie przeżegnać się przed wejściem, zupełnie tak, jakby wchodziło się w loch.

**
*

W domu, stojącym naprzeciw parkanu po drugiej stronie ulicy, pierwsze zasnęły dzieci tapicera, tego samego, co to na najwyższem piętrze pozwala sobie na syczący i biały płomień gazowy w lampie. Świeci lampa i świeci, a gazomierz takt w takt wystukuje grosze, lecz tapicer nie dba. Podparł rękami głowę śród resztek żarcia na stole, a przez głowę w kółko — w kółko ta sama myśl przebiega. Dziwuje się myśl, ledwo gdzieś ponad głową tchu załapie i znowu wraca i znów pyta zadyszanym szeptem: — Dlaczego Helka poszła?... Dlaczego Helka poszła?...

— No poszła!... no poszła... mruczy tapicer przez zęby. — Poszła, lecz może wróci... może...

To *może* jest blisko oczu i oczy wnikają w *może*, a serce pod kamizelą woła: wracaj prędzej!... Jak masz wrócić, to prędzej! prędzej! już!...

I znowu myśl: — Dlaczego Helka poszła?...

I znowu szept przez zęby i znowu w sercu krzyk i tak bez końca.

**
*

Policjant rower zaprowadził w krzaki i niewiadomo czemu zapachniało odrazu świeżem sianem i końmi. Żeby jeszcze gdzieś w kącie stał zydelek — to byłaby cała stajnia, cała stajnia po żniwach, po przepracowanym dniu. Ale niema zydelka, niema stajni...

Dokoła od pół roku stoi fabryka i stoi, bo właściciel zastrzelił się na wiosnę i długi po nim zostały i Upiór, który nim stał się Upiorem, był zwyczajnym robotnikiem w tej fabryce. Teraz ludzi zabija i rabuje i kradnie i przyjdzie, zaraz tu przyjdzie, będzie tędy szedł...

Pokiwał policjant głową w zamyśleniu i przypomniało się zaraz, że taksamo uważnie kiwał dzisiaj głową do słów pana komisarza, który bębniąc palcami po bibule na stole, mówił: — Przy furtce stać będziecie i pozwolicie wejść, gdyby jednak uciekał, — macie strzelać!

— Tak, tak...

— Lecz *on* nie będzie uciekał... (tu pan komisarz ziewnął). — Na drugim końcu fabryki, tuż przy wejściu do piwnic stanie sześciu i oni...

— Tak, tak...

**
*

Tapicer wstał od stołu i ciężko przeciągnął członki. Prawej ręce chce się już od pół godziny sięgnąć po kapelusz wiszący na drzwiach, — lewej ręce chce się pomacać w kamizeli, w tej najwyższej kieszonce nad sercem, trochę drobnych na wódkę, — drobnych, których niema, — nogom chce się przemknąć po jednej — drugiej ulicy, wpaść po schodkach, kiwnąć się przed ladą..., — a to wszystko dlatego, że głowie nie chce się być.

Ach! żeby to już był dzień!... Ach! żeby to już otwarto bar na rogu i wódkę!... Ach! żeby to już nie trzeba rozpakowywać nóg z trzewików przed tą podróżą na róg, po schodkach, przed ladę... Przed ladę, gdzie jak przy kasie na dworcu można kupić bilet... można kupić bilet do...

Do?... No, tam, gdzie niema żadnego zmartwienia, gdzie niema niepokoju, że niema Helki... Tam, gdzie jest... Ach! otóż to właśnie, że tam, gdzie niczego niema!...

Ociągają się przed snem, a zarazem wyciągają się do snu długie ramiona tapicera. Pierś o koszulę otarła się jak o sen i zamruczała leniwie: — Fajna jesteś! Fajna jesteś, Helka!...

I zaraz potem: — Boże mój! Boże!.,. Przecież niema Helki na łóżku!...

**
*

*) Rzecz osnuta na tle prawdziwego zdarzenia.

Policjant wszedł na drzewo. Z początku pomyślał sobie, że z drzewa lepiej dostrzeże, jak *tamten* będzie szedł. Zaraz jednak policjant przestał być policjantem. Przyczaił się na cienistej lipowej gałęzi i znieruchomiał od zapachu jabłek, które tu przyszły niewiadomo skąd i pachną, pachną dokoła. Zapomniał posterunkowy, że teraz jest jesień i że na głowie sterczy kaszkiet granatowy z numerkiem, — natomiast cały przegiął się i oddał uczuciu, że ta noc, to jest letnia noc dzieciństwa. Niech szczeka pies! niech sadowy czeka z kijem!... Jabłka tak pachną na tej lipowej gałęzi!...

Znów wsią powiało na przedmieściu. Znów przyszła do policjanta wieś.

***

Odrazu głośno i odrazu niewiadomo skąd zaczął ktoś mówić. Nie wiadomo z której strony i czy daleko, czy blisko. Najpierw niebo jeszcze głębszą zasnuło się nocą, potem od tej nocy światła w latarniach zciemniały, a potem rozległ się głos.

— Ja tobie mówię..., — słyszał na drzewie policjant. — Ja tobie mówię..., — słyszał za oknem tapicer. — Ja tobie mówię, odczep się!... Wszystko, coś mi dziś, bracie, powiedział, — to dla mnie guzik! frajer! nic!

W ciszy nocnej słowa brzmiały wyraźnie, rozlegały się gniewnym tupotem i lały się ściekami po ulicy, długo — długo, od końca do końca. — I ty mi bracie od psiów-krwiów nie wymyślaj, bo dostaniesz zara w jadaczkę i...

I nagle słowa przeszły w rozgłośny śmiech, niespodziany i krótki, zakończony w połowie ciszą. Potem gdzieś daleko na drugiem przedmieściu pociąg zagwizdał i przejechał i znowu wszystko zamilkło. Znowu nic.

***

Policjant spochmurniał na gałęzi. Cholerna jest taka podmiejska noc i ciemna, że oko wykol!... Czego ja nie dostrzegę, to jakże dostrzeże tamtych sześciu przy wejściu do piwnic?... *On* wyrwie się im napewno! *On* napewno będzie uciekał i chociaż furtka o krok, to jednak miga się i miga czarnością, że nie sposób trafić... — Strzelać masz!... Ech, głupie gadanie!... Sami sobie strzelajcie, panie komisarzu!

Posterunkowy splunął i wybałuszył oczy. Wysoko mgli się światło w oknie kamienicy, a po lewej ręce ledwie zipie latarnia, zatopiona do cna w głębokoczarnej wodzie nocy. Mętny blask oświeca akuratnie dwie tafle chodnika i dziesięć kamieni jezdni. Reszta w mroku. Gdzie spojrzysz — noc, tylko noc.

A oto cisza trzeszczy. Po murze otaczającym fabrykę skrobie ktoś i rysuje kawałkiem szkła. To cisza trzeszczy. Wiatr przepadł, zapodział się nawet szum dalekiego miasta. Wszystko znieruchomiało, stanęło, jak ta fabryka za plecami, — wszystko przepadło w ciszy, co się nadyma i trzeszczy, nadyma i trzeszczy i podchodzi do gardła... Ech!...

Pod latarnią do kamieni na bruku dołączył się jeszcze jeden kamień. Czyżby o ten jeden kamień dodali w gazowni gazu?... Nie, latarnia jeszcze ciemniej migocze. Więc co?... A może?... Ach, tak! to szczur albo kot!

Szczur albo kot sunie nisko na brzuchu, jakby razem z nim ruszał się cały bruk. Do latarni, do światła, — zaraz wejdzie na chodnik. Załaskotało w oczach i zaraz zrobiły się dwa. Dwa koty na chodniku pod latarnią. Teraz stoją, teraz patrzą na siebie, teraz wstają do góry łapami, doskakują, odskakują, znów wracają na bruk, zmieniają się na kamienie, znowu rosną i... ach! pierzchają po bruku tak zupełnie, jakby rzucił im ktoś jeszcze jeden kamień. Tak tak... jest jest... trzeci kot...

***

Zaturkotały gdzieś wozy i posterunkowy oczy przymknął. Bruk pod powiekami zamienia się na stopy, bose, okurzone stopy bab. Wystrzela jednocześnie cała wojna jarmarcznego krzyku i oto posterunkowy widzi się na bazarze ulicznym w bezchmurny upalny dzień, jak przepędza baby z koszykami, — takie baby, które nie mają papierka.

Nie doliczysz się nigdy tych bab we wspomnieniu, ale jedna była stara, miała ciemną zaoraną twarz i gdyby nie papierek i nie jarmark — to przyszedłszy do jej chaty, trzebaby musowo w rękę pocałować i powiedzieć: — Matko!... Uśmiechnęłaby się dobrze w odpowiedzi, gdyby nie ten mundur i nie czapka, a tak, to uciekała spiesznie, podobna z kroku i ze spódnic do kury, za którą pędzi zziajany i z wywieszonym językiem pies.

Za tą starą, a może za inną, biegła druga, młoda i miała na twarzy i w oczach przestrach taki wielki, że chciało się biec za tym strachem, biec daleko, aż na łąkę... Dlaczego na łąkę?... Na jaką?

Zamarzyła się policjantowi gęsta łąka ojcowa, a w łące wielkie oczy przepełnione strachem. Zaskrzypiała aż gałąź od westchnienia: — Ach, dobrzeby było! Ach, dobrzeby było, gdyby... gdyby... ach!... Znowu powiał zapach ze wsi, zapach łąki, potu, ust i ciepłego kobiecego strachu, — że nic, tylko bluzę policyjską otworzyć, zerwać szelki jak łańcuch i puścić, puścić psa, w trawę, w łąkę...

Nagle z ciszy nocnej, z oddali, z oddali gruchnął strzał. Zakołysał się przez chwilę w powietrzu i utonął. Policjant zakłapał zębami.

***

— Ach, gaz! ciągle pali się gaz, — zapomniałem przykręcić!... Spuścił tapicer nogi z łóżka i ręką do lampy sięgnął, ale nie, to nie gaz go przebudził. Wystarczyło dłonią potrzeć kark i oto już się wie, że nie w pokoju i nie w głowie, ale za oknem pociągnął ktoś za sen i urwał, jak lichą nitkę.

Żeby do okna dojść — trzeba spojrzeć na dzieci i trzeba przeląc się, że mógłby zbudzić je wzrok. Będą krzyczeć znów: — Daj tatusiu kaszy!... Będą płakać ustami, oczami i nosem, a ty rób co chcesz, bo niema kaszy ani chleba, ani złotówki ani wogóle nic. Lepiej niech śpią! niech prześpią!... zobaczy się jutro...

Poza oknem noc chłodna jak kąpiel. Wie się, że nisko w dole jest ulica i bruk, — wie się, a jednak rzeka płynie pod oknem, — Wisła, tylko że jeszcze głębsza i ciemna, zupełnie czarna...

Siąść na oknie, oczy przymknąć, zakołysać się i oto masz całą podróż do Dobrzynia, gdzie mieszka matka żony i dokąd raz jechało się, jeszcze w czasach narzeczeństwa. Taka sama była noc na pomoście, tylko że wtedy rozmawiało się z Helką o rybach, — o szczupakach, karpiach, jesiotrach, o kawiorze na bułce, jak smakuje i jaki on jest różny, — czarny, żółty, siny, — i jaki drogi...

Potem śpiewało się cicho, półgłosem. Ach, cóż to była za melodja?...

***

Kroki. Takie dalekie, że brzęczą jak mucha w szklance, ale że muchy śpią i niema szklanki, więc

kroki. Pomału pomału, malutkie malutkie, mkną i przystają w powietrzu i znowu po powietrzu mkną do ucha. Nierówne, oglądające się, płochliwe kroki. Nikt nie widzi, jaki to wielki idzie chłop. Nie, naprawdę nikt nie widzi. Można przystanąć, oprzeć się o ścianę i wglądnąć w noc lewem i prawem okiem. Prawem w lewo. Lewem w prawo. Po sobie.

A potem w niebo. Załamują się ręce i jęk: — Przecież ty wiesz, że ja nie mogłem inaczej! Przecież wiesz, Boże!...

A potem cisza. Jeszcze ciężej sercu. Potem znów kroki...

***

Policjant zadrżał na gałęzi, a tapicer na oknie znieruchomiał. Z dna czarnej nocy, niby z głębin rzecznych, kroki na powierzchnię wypływają i nie są już jak brzęczenie, lecz jak plusk. Policjant oczy wytrzeszczył, a tapicer ukrył twarz w dłoniach. Każdy już krok osobno rozbrzmiewa w uchu, a cisza dzieląca krok od kroku także brzmi. Wystarczy wsłuchać się w te pluski przerywane ciszą, by pomacku trafić na melodję i znów zgubić i znów złowić i mieć i nie mieć i jeszcze szukać i jeszcze...

Jest w końcu. Narzeczeńska. Ta sama. Kupa lat, jak odpływali od Warszawy, kupa lat, jak dopływali do Dobrzynia, lecz melodja nie zmieniła się nic. Jest już w uszach, jest już w sercu, a brzmi w niej i tamta suknia Helki w żółte paski, i jego zaciasne buciki, i tamta noc, i tamta miłość ich i miasto Dobrzyń... Wszystko w tej melodji budzi się i odżywa, krząta się wokół oczu niedomkniętych i do ramion tuli się i... tapicer zaczął gwizdać.

***

— Co jest?... zawarczał policjant. Wystarczyło kilka cali wspiąć się po gałęzi, by dostrzec poprzez listowie cień ludzki, siedzący na framudze białej plamy okna.

— Gaz wypala skurwysyn, żeby gwizdać?! A niechże cię tam, draniu, cholera zaksztusi!

Podły gwizd! Niby cichy i zwyczajny, a przecie leci pociemku prosto w ucho i zagłusza co chwila tamte kroki. Głupi gwizd! ani sobie ani komu głupią piosenkę świszcze, podczas gdy tamte kroki takie straszne! takie strasznie ważne!...

Wierci się od tego gwizdu policjant na gałęzi, nogą macha i szarpie ręką liści całą garść i choć nie może gardłem na cały głos, klnie jednak myślą i oczami i szczeka, szczeka jak pies rozłoszczoną twarzą i zębami też kłapie jak pies: — Stul morde! Stul morde! Stul morde!!!

***

Kroki tymczasem zbliżają się, dochodzą ciężko do rogu. Gdyby nie noc, to tamten, który idzie, włażąc co chwila na ściany i unikając latarń, byłby zgarbiony, choć wielki i chudy, choć rozłożysty. Miałby obrosłą twarz i zakrwawione paznokcie i nogi coraz słabsze i wypchaną kieszeń. Jest jednak tylko cieniem, spragnionym większego jeszcze cienia, jeszcze zupełniejszej ciemności.

Oto doszedł do rogu i przystanął. Wyciągniętą ręką zdaje się rozgarniać gąszcz nocny i macać czerń tamtej nowej ulicy. Potknęła się ręka o bliski blask latarni i opadła. Cień cofnął się. Teraz, zaszyty w ciemny występ muru czeka. Na co czeka?...

***

Gwizd zamarł w gardle. Było tak, jakby cisza wzbierająca od bruku, dosięgła najwyższego okna kamienicy, dotknęła zimnym palcem warg i wlała się w serce. Odechciało się piosenki. Odechciało się wszystkiego... Te kroki — to nie była Helka...

Policjant także zamarł na gałęzi. Już tylko jednem okiem patrzał na bruk i czuł, jak po drugiej, zamkniętej powiece stąpa cisza czarna, groźna i potężna, jak przejeżdża bezszelestna a cięższa niż wóz, jak przewala się po ciele i po myślach, dążąc gdzieś, płynąc gdzieś, wszystko mijając...

O pewnej przenajcichszej i najczarniejszej godzinie, dostrzegł policjant jednem otwartem okiem, że oto latarnie gasną. W głowie zadrżała myśl, jak struna najcieńsza: — Niedługo będzie świt...

***

Coś poruszyło się za rogiem. Tak, ktoś stąpa po chodniku, ktoś ostrożnie przeprawia się przez róg. Przez róg, czy przez serce?... Na najwyższem oknie kamienicy rośnie serce od tego stąpania. Staje się cud, — serce przestaje czekać.

— Czekaj teraz ty! zawołały bezgłośnie piersi tapicera. — Czekaj!... tylko małą chwileczkę!... Przecież pęknę, jeśli w tejże sekundzie, jeśli zaraz nie przekonam się, że to ty przeprawiasz się przez róg, że to ty wracasz, że to ty boisz się powrotu, — Helka!...

Ten gwizd zduszony i przeraźliwy zarazem od nagłości — to przecież Dobrzyń i żółta suknia w paski i półgodzinny pocałunek na pokładzie i ręka na pończosze i pod spodniami ruch... Wszystko pamiętam, wszystko przebaczyłem. Teraz chodź! Teraz chodź już prędzej!!!...

Zaciśnięte powieki i usta złożone w pocałunek. Gwizd, który zrywa się z tych ust, nagły jest i ostry, gorący i rozciśnięty jak pocałunek, jak pocałunek... Ach!...

Zawrócił się cień i oddala... oddala... Milkną kroki... Nie Helka...

***

Policjant ociera chustką pot. W popielatym brzasku widzi na niższej gałęzi kołyszący się niepotrzebnie karabin, a uchem chwyta mechanicznie turkot wozów wlokących się po bruku.

Niema słów w policyjskiej głowie. — Ach! na to niema słów!... Na to są tylko kajdanki, które zaraz wyskoczą z kieszeni na ręce, na mordę, na gwizd tego... tego... wspólnika!!!.

Chwilowo jest pot na głowie, ale tylko chwilowo, bo już za dwie minuty głowa będzie w bramie, potem twardo zatrzeszczy na schodach, wejdzie w drzwi, wyceluje w gaz i rozwrzeszczy się, rozszczeka w jednem słowie, w jednem: — *Aresztuję!!!*

Policjant ociera chustką pot i patrzy na karabin. Patrzy na karabin, więc nie widzi. Skoro usłyszy huk spadającego ciała — będzie zapóźno. W pustem oknie samotnie, och jakże samotnie palić się będzie gaz...

***

Gdy poprzez furtkę w płocie siedmiu policjantów wybiegło z fabryki na ulicę, długi ciąg wozów, jadących do miasta na targ, stał w miejscu. Konie grzebały kopytami, woźnice spoglądali sennie, a pod kopytami najpierwszego konia i pod spojrzeniem pierwszego woźnicy, konał tapicer. Z niewiadomokąd powyłazili ludzie. Jedni zeszli się już w zbity i pochylony wieniec, inni dopiero szli, a wyłaniali się zewsząd.

Tapicer płakał w niebo zrumienione świtem, — śmiesznie płakał oczami i jękiem. — Przecież ty wiesz, że ja nie mogłem inaczej... Przecież wiesz, Panie Boże...

Jerzy Kornacki

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Na murach Wiednia rzuca się w oczy wielki, barwny afisz z uśmiechniętą twarzą kanclerza Dollfussa. Pod nią widać chłopów, robotników, studentów, trzymających się za ręce. Olbrzymie litery wołają „Oesterreich über alles" i wzywają wszystkich, by przystąpili do „frontu patrjotycznego" (Vaterländische Front). Znane jest powszechnie hasło „Deutschland über alles". Hasło „Oesterreich über alles" jest nowym tworem ostatnich miesięcy. Po parotygodniowem zaledwie istnieniu „front" liczy już pokaźną liczbę przeszło pół miljona członków. Przystąpiła doń partja chrześcijańsko-społeczna, związek chłopski i Heimwehra. „Front", mimo charakteru ponadpartyjnego, nie przyjmuje socjalistów, jako wyznających walkę klas. Głównem zadaniem nowopowstałej organizacji jest krzewienie patrjotyzmu austrjackiego. „Front patrjotyczny — głosi odezwa propagandowa — broni interesów całego narodu austrjackiego, walczy o utrzymanie naszego kulturalnego dziedzictwa, oraz o nietykalność i wolność Austrji." Członkowie frontu zobowiązują się w deklaracji przystąpienia „zawsze i wiecznie bronić niepodległości i wolności Austrji oraz jej honoru i autorytetu".

Chodzi tu o niezmiernie charakterystyczną i ważną dla zagrożonej przez Hitlera Austrji sprawę. W przedwojennej Austrji nie było miejsca na patrjotyzm. Istniały partykularne patrjotyzmy składowych części monarchji, a Niemcy austrjaccy mieli do wyboru kilka surogatów ideału narodowego: albo ciążyć ideowo ku Rzeszy, albo kierować się uczuciami dynastycznemi zamiast narodowemi. Zamiast ojczyzny był cesarz. Po rozpadnięciu się monarchji brak ideału ojczystego wytworzył psychologiczną podstawę dla idei Anschlussu, której sprzyjała też ciężka sytuacja gospodarcza kraju. Po przewrocie hitlerowskim ogół opinji austrjackiej poniechał idei Anschlussu i zrozumiał, że niezależność Austrji nabiera nowego sensu. Nowy patrjotyzm austrjacki, którego wyrazem jest „Vaterländische Front" zrodził się głównie pod wpływem wydarzeń niemieckich. Wiedeń ma się stać azylem dla ducha Weimaru, wygnanego z trzeciej Rzeszy przez ducha Potsdamu.

***

Dzienniki wiedeńskie przepełnione były wiadomościami z pola bitwy. Tytuły krzyczały ze szpalt: „Samoloty niemieckie nad Austrją", „Przed nową ofensywą radjową", „Niemieccy komitadżi przy pracy", „Bandycka wojna przeciw Austrji".

Walka przybierała różne formy: propagandową, gospodarczą, zamachową. Propaganda hitlerowska w Austrji nosiła spoczątku charakter legalny. Fundusz około 25 miljonów marek pozwolił przyciągnąć do partji narodowo-socjalistycznej szerokie rzesze bezrobotnej młodzieży. Członek partji otrzymywał mundur i 5 szylingów (czyli 5 złotych dziennie). Dziś partja jest rozwiązana. Przeciw prasie podjęto ostre represje. Propaganda hitlerowska przeniosła się na teren Rzeszy.

Na pierwszy plan wysunęła się akcja radjowa w Monachjum, która nadaje mowy zbiegłych do Rzeszy hitlerowców austrjackich.

Obok wojny radjowej mamy walkę lotniczą. Niemieckie samoloty zrzucały na miasta austrjackie ulotki, pełne obelg i wyzwisk pod adresem Dollfussa. Plan „obrony przeciwlotniczej" przewiduje nawet możliwość ostrzeliwania samolotów niemieckich.

W wojnie gospodarczej najważniejszem posunięciem było uniemożliwienie turystom niemieckim, wyjazdu do Austrji przez wprowadzenie tysiącmarkowej opłaty. Austrja przygotowuje zarządzenie odwetowe.

Wielkie poruszenie opinji wywołał szereg zamachów, próby wysadzenia w powietrze mostów, podkładanie bomb w lokalach publicznych. Urzędowa austrjacka *Politische Korrespondenz* ogłosiła komunikat, który pozwala ocenić obecne stosunki austrjacko-niemieckie: „Sposób, w jaki terroryści, wysyłani z Niemiec, przy tolerancji, a nawet pomocy niektórych urzędów niemieckich mogą przygotowywać i przeprowadzać swe zbrodnicze zamiary, jest smutnym przykładem niskiego poziomu moralnego, jaki ostatnio osiągnęła walka k.?ł niemieckich z Austrją".

Celem zamachów była niewątpliwie chęć poderwania autorytetu rządu, zmuszenia go do ustępstw i ponownego zalegalizowania ruchu hitlerowskiego. Jak dotychczas osiągnęły one efekt wprost przeciwny zamierzeniom. Wśród opinji publicznej wywołały one nietyle uczucie strachu, ile oburzenia.

W walce pomiędzy austrjackim Dawidem, a niemieckim Goljatem zwycięża raczej mała Austrja.

***

Podczas niedawnej manifestacji przeciw rządom Hitlera, zorganizowanej przez żydów londyńskich, gdy olbrzymi pochód zmierzał od Whitechapel'u do Hyde Parku, grupa młodzieży w granatowych koszulach z oznakami swastyki rozrzucała z samochodu ciężarowego ulotki antysemickie. Niemal równocześnie lokal partyjny tych angielskich „nazi", zarejestrowanych jako handlowe przedsiębiorstwo „British Fascists LTD", został zdemolowany przez inną grupę faszystów w czarnych koszulach, członków „British Union of Fascists". Granatowi czerpią natchnienie z hitlerowskich Niemiec, czarni — z Włoch. Na czele „czarnych" stoi sir Oswald Mosley, b. minister i b. przywódca skrajnego skrzydła Labour Party.

„British Union of Fascists", która ma wkrótce przeistoczyć się w unję imperjalną, obejmującą również dominja, odżegnywa się zdecydowanie od grupy antysemickiej, liczącej pono... 20 członków. Posiew hitleryzmu nie ma, według przywódców „unji faszystowskiej", żadnych szans powodzenia w Anglji. Rzecz inna, gdy chodzi o idee „czystego faszyzmu, przystosowane do warunków angielskich".

W obawie przed uświęconą wiekami tradycją, faszyzm angielski bardzo ostrożnie operuje pojęciem dyktatury. Narazie partja Mosley'a ogranicza się do szerzenia haseł państwa korporacyjnego, tępienia starych partyj, reformy parlamentaryzmu i planowej gospodarki. W pierwszym rzędzie walczy z komunizmem i socjalizmem Labour Party. Ideologja faszystowska jest równie obca Anglji, jak ideologja spod znaku swastyki i wydaje się rzeczą wątpliwą, czy podczas następnych wyborów sir Mosley potrafi zdobyć choćby kilka mandatów do parlamentu.

***

Wielka radość opanowała faszystowskie obozy po niefortunnem zakończeniu kongresu socjalistów francuskich. Czarne i bronzowe koszule zatrjumfowały: do tęczy kolorów przybywa jeszcze jeden. I choć — logicznie biorąc — powinniby się raczej włoscy i niemieccy faszyści zmartwić, bo faszyzm francuski stałby się niewątpliwie polityczną antytezą swych sąsiedzkich poprzedników, zwyciężyła widać jednak „międzynarodowa solidarność" kolorowych koszul.

Gazzetta del Popolo pisze: „Socjalizm zbankrutował, zbankrutował kompletnie, krocząc poprzez cały szereg niszczących go prób... Jak meteor spadł faszyzm na kongres socjalistów francuskich, siejąc panikę wśród przeróżnych Blumów. Wygłoszono przemówienia, ostatecznie potępiające socjalistyczny internacjonalizm".

Voelkischer Beobachter zaciera ręce: „Mamy krach w szeregach francuskich socjalistów. I nic dziwnego: lody demo-

kratycznego marksizmu pękały już oddawna. Wiek XIX gospodarczy dogorywał na dziwacznej konferencji w Londynie; wiek XIX wojenny wił się w ostatnich konwulsjach na konferencji w Genewie; wiek XIX polityczny kona w swej demokratycznej ojczyźnie, w Paryżu. Jeden tylko pozostał członkom II Międzynarodówki przebłysk nadziei — Madryt, ale i tam nie wszystko jest różowe".

Secesja grupy posłów socjalistycznych z Renaudelem i Déat na czele ma tyleż z faszyzmem wspólnego ,co „umierająca w Paryżu demokracja" z kolorowemi koszulami Rzymu lub Berlina. Sami secesjoniści w energiczny sposób odżegnywują się od posądzeń o faszyzm Stary socjalista Renaudel zamieszcza w „Vie socialiste" list otwarty do Leona Bluma, w którym w imieniu nietylko swojem, lecz i głównych secesjonistów: Marqueta („o sumieniu prawem i czystem"), Marcelego Déat („oddanego żywo i gorąco demokratycznemu socjalizmowi, przesiąkniętemu humanitaryzmem i duchem narodowym"), Montagnona („kontynuatora wielkiej doktryny Jaurèsa") w sposób niedwuznaczny i dobitny oświadcza „Pozostajemy socjalistami, lecz żądamy socjalizmu czynnego i odpowiedzialnego za swe czyny. Nie istnieje dla nas konflikt doktryny, lecz metody; wszakże chodzi nie o metody parlamentarne, jeno o ogólny system postępowania". Ażeby rozwiać wszelkie wątpliwości Renaudel powtarza: „Jesteśmy socjalistami w tymże stopniu co i demokratami, wierzymy jednak więcej w rewolucyjną ewolucję, niźli w cnotę przemocy". Z oburzeniem zaś odrzuca wszelkie pomawiania secesjonistów o faszyzm, o zdradę, socjalizmu i o stwarzanie niebezpiecznego dla demokracji novum. Tego rodzaju ataki, poparte głosami prasy faszystowskiej, Renaudel wręcz określa jako hańbiące jego i jego przyjaciół.

A co mówi nieznany doniedawna, a głośny dziś przywódca opozycji socjalistycznej Déat? W piśmie swem *Paris Demain* uzasadnia teorję „neosocjalizmu" francuskiego: „Uznaję, że socjalizm we Francji nie powinien odwracać się ani od klas średnich, ani od demokracji ani od narodu. Gdyż przekonany jestem, że właśnie zerwanie z temi trzema elementami doprowadziłoby z pewnością do faszyzmu. Ze swej strony usiłowałem tylko wskazać francuskiemu socjalizmowi politykę twórczą i prawdziwie rewolucyjną". Jeszcze wyraźniej przeciwstawia się Déat faszyzmowi w czasopiśmie niemieckiej emigracji w Paryżu *Das neue Tagebuch*: „Długo zastanawialiśmy się nad doświadczeniami włoskiemi i niemieckiemi, wiele deliberowaliśmy o faszyzmie i narodowym socjalizmie, dokładnie zanalizowaliśmy taktykę socjalizmu włoskiego i niemieckiej socjalnej demokracji. Przypuszczamy, żeśmy zrozumieli popełnione błędy. Właśnie od socjalizmu francuskiego domagamy się, aby nie popełniał tych samych błędów. Nawołujemy do zwalczania przeciwnika na tym terenie, na którym może on być pokonany."

Zawiodły się więc kolorowe koszule. Słusznie powiada Piotr Mille: demokracja francuska nie jest już ani hasłem, ani doktryną, stała się tradycją. I wraz z nim należałoby pokłonić się prochom ofiar terroru jakobińskiego i bohaterów paryskiej komuny. „Nie zginęliście naprόżno!"

Zastępca.

REGULAMIN
DLA ODDZIAŁÓW LIGI REFORMY OBYCZAJÓW

Art. 1. Oddziały Ligi obowiązuje jej statut z poniższemi uzupełnieniami.

I. ZAŁOŻENIE ODDZIAŁU

Art. 2. Oddziały Ligi mogą być tworzone w miastach, w których zamieszkuje najmniej 20 jej członków.

Art. 3. Utworzenie oddziału wymaga zgody Zarządu Ligi (Głównego).

Art. 4. Przystępując do utworzenia Oddziału Ligi, Zarząd Główny zleci jednemu z członków Ligi zwołanie zebrania członków Ligi, zamieszkałych w siedzibie przyszłego Oddziału, celem dokonania wyboru Zarządu i Komisji Rewizyjnej Oddziału i oznaczenia siedziby Oddziału. Wybrany tym sposobem Zarząd Oddziału zawiadamia niezwłocznie powiatową władzę administracji ogólnej w myśl art. 41 Prawa o stowarzyszeniach i przystępuje do działalności w terminie i pod warunkiem przewidzianym w ustępie 1, art. 13 wspomnianego prawa.

II. WŁADZE ODDZIAŁU

Art. 5. Do oddziału Ligi mają odpowiednie zastosowanie § 8 — 12 statutu Ligi z tą jedynie zmianą, że Zarząd składa się z 5 osób, wybieranych przez Walne Zebranie członków Oddziału na przeciąg roku, zaś Komisja Rewizyjna składa się z 3 osób.

Art. 6. W przeciągu tygodnia od terminu Walnego Zebrania, które dokonało wyborów, Zarząd i Komisja Rewizyjna winny wybrać zpośród siebie: Zarząd — prezesa, sekretarza i skarbnika, Komisja Rewizyjna — prezesa i sekretarza.

Art. 7. Zarząd Oddziału odbywa zebrania przynajmniej co miesiąc.

Art. 8. Komisja Rewizyjna Oddziału dokonywa czynności kontrolujących nie rzadziej jak co 6 miesięcy, najpóźniej na 10 dni przed terminem Walnego Zebrania.

Art. 9. Ze wszystkich zebrań w Oddziale sporządzane są protokuły.

III. DZIAŁALNOŚĆ ODDZIAŁU.

Art. 10. Plan i sposoby działalności Oddziałów w zakresie § 4 statutu ustala się w porozumieniu z Zarządem Głównym.

Art. 11. Członek Oddziału jest członkiem Ligi i przepisy art. 5 mają dla Oddziałów odpowiednie zastosowanie. Każdy członek Ligi, zamieszkały w siedzibie Oddziału, jest jego członkiem.

Art. 12. Uchwała Walnego Zgromadzenia członków Ligi w Warszawie, określająca wysokość składki, przewidzianej w § 6 statutu Ligi, obowiązuje Oddziały.

IV. STOSUNEK ODDZIAŁU DO WŁADZ GŁÓWNYCH.

Art. 13. Zarząd Oddziału co 2 miesiące, zaś Komisja Rewizyjna Oddziału natychmiast po dokonaniu czynności kontrolującej, przesyłają Zarządowi Głównemu szczegółowe sprawozdania ze swej działalności.

Art. 14. Zarząd Oddziału przekazuje Zarządowi Głównemu co 2 miesiące czwartą część wpływów z wpisowego i składek członkowskich, zawiadując pozostałą częścią funduszów.

Art. 15. Zarząd i Komisja Rewizyjna Oddziału stosują zalecenia porządkowe Zarządu Głównego i Głównej Komisji Rewizyjnej w zakresie prowadzenia i kontrolowania administracji Oddziału.

Art. 16. Zarząd Główny i Główna Komisja Rewizyjna władne są każdej chwili zażądać od Zarządu Oddziału i jego Komisji Rewizyjnej szczegółowego sprawozdania z działalności Oddziału, jak również badać przez swego przedstawiciela wszelkie książki i dokumenty Oddziału.

V. ROZWIĄZANIE I LIKWIDACJA ODDZIAŁU

Art. 17. Zarząd Główny władny jest każdej chwili rozwiązać Oddział, zarządzając jego likwidację.

Art. 18. W razie likwidacji Oddziału, wszelkie książki, dokumenty i fundusze, będące w zawiadywaniu Oddziału, władze Oddziału przekażą Zarządowi Głównemu.

LISTY DO »EPOKI«

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałem wyrazić uznanie „Epoce" za to, że nie zraża się coraz bardziej złośliwemi i oszczerczemi atakami prasy reakcyjnej, lecz trzyma się wiernie swojej linji prawdziwie niezależnego pisma. Dobrze to, że istnieje u nas taka placówka. Wszędzie — kliki, interesy, jednostronność, ciasnota pojęć, demagogja. Więc — jako odtrutka, jako andidotum, „Epoka" spełnia doskonale swoje zadanie. Przed rokiem sądziłem, że takie pismo w żaden sposób w naszej atmosferze nie będzie mogło się utrzymać. Jestem nader przyjemnie zaskoczony, jak i wielu przyjaciół „Epoki".

Może nie to jest największe u nas zło, że tyle panuje w prasie fałszu i demagogji. Wszędzie jest to samo. Ale poza krajami, objętemi terrorem — wszędzie działa przeciwwaga, wszędzie istnieją placówki myśli niezależnej i uczciwego słowa. U nas tego bardzo, bardzo mało. Dlatego tak bardzo potrzebna była „Epoka".

Nie zrażajcie się, Panowie, niczem. I niech Wam pomaga świadomość, że zdobywacie coraz więcej przyjaciół, coraz więcej wdzięcznych czytelników.

Kraków *Michał Kowalski*

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu St. W. Z. w Warszawie. Otrzymaliśmy. Trzebaby tę rzecz mocno skrócić. Prosimy o przybycie do redakcji.

Panu Henrykowi K. w Łodzi. Otóż to właśnie: ciskając oszczerstwa na „Epokę", nigdy nie cytują atakowanych artykułów, bo nie znajdą w „Epoce", ani jednego zdania, któreby potwierdziło ich oszczercze zarzuty.

Pani Jadwidze M. w Radomiu. Wysłaliśmy wszystkim. Za miłe słowa dziękujemy serdecznie.

Pani Helenie W. w Sosnowcu. Zapomniała Pani o istnieniu cenzury.

Panu Wacławowi B. w Sosnowcu. Poruszymy tę sprawę w jednym z najbliższych n-rów „Epoki".

Panu Mieczysławowi L. w Toruniu. Trzeba robić swoje i nie zrażać się chwilowemi przeciwnościami. Każda praca ideowa wymaga nadewszystko uporu i cierpliwości. Jeżeli tego „muru" nie można rozwalić „za jednym zamachem", to przecież można go drążyć i kruszyć— cegłę po cegle. Takiej pracy poświęcono nieraz całe życie. W naszych jednak czasach wszystko idzie szybciej... Walka ideowa, prowadzona jedynie „w sprzyjających warunkach" byłaby łatwiejsza, nie narażałaby na tyle przykrości i cierpień, ale właśnie chodzi o te, żeby *zmienić* warunki niesprzyjające, nie czekając biernie na „lepsze czasy".

Pani Annie Z. w Krakowie. Pisaliśmy o tem w n-rze 30-tym „Epoki".

Pan W. K. w Warszawie. Owszem, czytaliśmy w „Jutrze Pracy". Autor tej notatki nie czytał utworu Heleny Boguszewskiej, o którym wspomina. W „Śpiącym targu" opisany jest nie Grochów, lecz targ przy zbiegu Grójeckiej i Opaczewskiej, więc — na innym krańcu miasta.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI. Z.- 527 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.